

# WIECZORY RODZINNE,

CZASOPISMO ILLUSTROWANE TYGODNIOWE

DLA DZIECI.



## POWRÓT.

Witam ciebie, chatko cicha,  
Od starości mchem porośla;  
Tu swobodnie pierś oddycha,  
Myśl ku niebu leci wzniosła.

Tu chwil tyle przemarzyłem,  
Niby jedno mgnienie oka,

I wśród burzy wciąż krążyła,  
Gdy straszne biły pioruny.

Dzisiaj znużony wędrowiec,  
Dobijam swojego brzegu,  
Tu może znajdę grobowiec,  
Po gorzkich lat mych obiegu.

Dzisiaj przy piersi życzliwej  
Ogrzeję zmartwiałe ciało,



Powrót.

Tu szczęśliwy niegdyś byłem,  
Nim uderzył grom z wysoka,

Co roztrzaskał me nadzieje,  
Nim rozkwitły w całej sile,  
I na świata pchnął zawieje,  
Ach! i zatrul życia chwile.

Skołatana łódź odbiła,  
Czarne skryły ją całuny,

Bo wśród rodziny szczęśliwej  
Czuję, że serce zadrgało.

I wznoszę wzrok lżą zalany  
Nad ziemskie zgliszczą i grody;  
Dzięki Ci, Panie nad Pany,  
Za nową chwilę swobody!

Ignacy Stopczński.

## GAWĘDY PODSŁUCHANE U WIŚLANÉJ FALI.

przez M...a.

*Jak żuławskie krówki ocaliły swoich panów.*

Nogat, wschodnia odnoga Wisły, odłączywszy się od niej, żwawo uchodzi bokiem do zatoki Fryskiej. Pomiędzy Nogatem a drugim właściwem korytem Wisły i drugą jej odnogą Karpiówką, zieleni się bujną roślinnością wyspa zwana: Żuławy malborskie. Nad Nogatem, przy tych Żuławach właśnie, na wysokim wzgórzu, wznosi dumne czoło gród potężny i okazały, z zamkiem wspinałym i pięknym, a nadewszystko obronnym. Ten gród, to Malborg, albo Marienburg, ten zamek, to mieszkanie dawnych potężnych mistrzów krzyżackich.

Rezydencja ta przerasta nawet o wiele swoje sławę i sławę swych panów; na jej sławę składa się istotna jej piękność, prócz przebrzmiałej potęgi, na ich sławę złożyły się tylko potęga, i przemoc, i waleczność wreszcie. Pięknego nigdy nie było w dziejach panów Malborga. W krzyżackim zgromadzeniu bywali wyjątkowo ludzie zaci, ale nigdy odgłos sławy Krzyżaków nie rozbrzmiał po świecie echem wspinałomyślności, szlachetności, i bogobojności prawdziwie rycerskiej. A przecież byli i oni rycerzami, lecz taka sława ich, jest właśnie dowodem, że nadużycia ludzkie mogą skrzywić najpiękniejsze zasady. Byli to pyszni, gwałtowni i surowi panowie przedewszystkiem. Silne mury, głębokie przekopy, wieże potężne broniły ich grodu przed sąsiadami. Te środki obrony wytworzone były kosztem otaczającego ludu, jego rękami i groszem. To też liczne na okół krążą o tych pracach powieści pośród ludu.

Pomiędzy wieżycami, sterczącymi wzdłuż murów przedmieścia, nad samym Nogatem, wystrzela w chmury jedna, zbudowana w roku 1412 przez W. Mistrza Henryka z Plauen, dla obrony zewnętrznego północnego narożnika przedmieścia. Na granitowym fundamencie wznoszą się jej mury na 90 stóp wysoko. Silnie zbudowana z cegły przepysznej, wieża ta, strażnica właściwie, stoi dotąd krzepko, jak nowa, a raczej stokroć silniej, niż dzisiejsze najnowsze budowle, jakkolwiek fale potężne i kry lodowe ogromne uderzają bezprzerwanie o jej podstawę. Wieża ta, od kształtu swego zwana jest wieżą Okrągłą, ale lud, pamiętny krzywd doznaných tak bardzo, że je aż zwiększa we wspomnieniu, zowie tę wieżę Maślankową, i najprzeróżniejsze o jej początku rozповіда powieści. Główną ich treścią jednakże jest zawsze srogie ucięmięzenie, doznanwane od Krzyżaków.

Powiadają tedy, że gdy wieży tej jeszcze nie było, na miejscu jej bujne istniało pastwisko, na które czasem zachodziły stada włościańskie z wsi okolicznych, znęcone wyborną trawą tam rosnącą. Pasza była na tém miejscu taka smaczna, że zwabiła bydełko nawet z dalszych okolic; mianowicie krówki z odległej o milę wsi Lichtenau zapędzały się na owę smakowitą paszę bardzo często. Otóż dostrzegł to i wyrozumiał sam W. Mistrz Krzyżacki, pan wielki, i potężny, i bogaty, ale taki chciwy, że żadnym zyskiem nie gardził. Zawezwał tedy W. Mistrz rządców swoich i wskazawszy im z pięknego gotyckiego okna owo pastwisko, rozkazał, aby korzystający z niego płacili za używalność podatek do krzyżackiego skarbu.

Gdy ogłoszono ten wyrok, wieśniacy okoliczni poczęli w inne strony bydło wyganiać i malborskie pastwisko pozostało pustką, nie przynoszącą żadnych dochodów. Mistrz się rozgniewał i posłał do wsi Lichtenau z oznajmieniem, że wolno jej mieszkańcom nie pasać trzód swych na owém pastwisku, ale mimo to muszą opłacić podatek za te czasy dawniejsze, gdy je tam wypasali. Wieśniacy, jakoś nie dobrze jeszcze W. Mistrza tego znający, odpowiedzieli na to, że: co z woza spadło to przepadło, że przeto nie będą płacili podatków za minione czasy. I nie płacili.

W. Mistrz przycichł i czekał tak, jak to Krzyżacy czekać umieli, wypatrując sposobności postawienia na swoim. Jakoż zdarzyło się, że butni wieśniacy z Lichtenau wdali się w jakąś sprzeczkę z mieszkańcami Malborga w gospodzie wiejskiej. Pochwycono tedy tę sposobność, zwiększono więć wieśniaków, oskarżono ich, iż odgrazali się na W. Mistrza, i zamknięto ich do lochów malborskich. Była to prawie cała młodzież z Lichtenau. We wsi pozostali starcy, dzieci i kobiety. Gdy do nich wiadomość doszła o tém, co zaszło w Malborgu, podniósł się wielki płacz. Kobiety wybrały się natychmiast do W. Mistrza z prośbą o wypuszczenie synów, ale starcy powstrzymali ich zapędy:

— Czekajcie — rzekli — może W. Mistrz nie tyle się będzie drożył z jeńcami, gdy niezbyt wielką okazemy o nich troskliwość.

Wstrzymano się tedy, a tymczasem odrazu zapadł na młodych wieśniaków wyrok śmierci „za obelgi na W. Mistrza, rzucane“.

Straszna rozpacz ogarnęła wieśniaków wsi Lichtenau. Starcy, niewiasty i dzieci, zapomniawszy dawniej buty, tłumnie z płaczem i jękiem pospieszyli teraz upaść do nóg W. Mistrza, przyrzekając wszystko, co uczynić można, za życie swych synów, ojców i braci. W. Mistrz nie bardzo się drożył z przypuszczeniem przed oblicze swoje tego

jęczącego tłumu, ale przyjął go krótko, machnął ręką i rzekł:

— Co z woza spadło, to przepadło, moi kochani—i odszedł.

Wieśniacy zrozumieli dobrze, że płacono im teraz pięknem za nadobne, ich własnymi butnemi słowami. Ale nie było co czynić, tylko błagać dalej. Więc jęczeli i błagali póty przed oknami W. Mistrza dniem i nocą, aż dumny pan dał się przebłagać, i przyrzekł życie uwięzionym, ale pod ciężkimi warunkami. Oto mieszkańcy Lichtenau powinni byli zwrócić podatek za używalność owego pastwiska, tak, jak im to odrazu było nakazaniem.

— A więc ileż to będzie? — pytali wieśniacy, drapiąc się za ucho.

— Rachunek prosty i krótki—odpowiedziano.— Kładźcie grosze nasze krzyżackie jeden za drugim w rząd, przez całą drogę, od waszjej wsi aż do bram malborskiego zamku, a ten rząd groszy, zebrany i oddany do malborskiej kasy, wyniesie jak raz tyle, ile się nam należy.

Po długich staraniach i naradach, wydobywszy grosze, jakie kto miał, pożyczwszy czy uprosiwszy trochę, sprzedawszy świąteczne szaty na dopełnienie reszty, wieśniacy złożyli żadaną sumę, to jest ułożyli rząd groszy krzyżackich na miłowej prestrzeni, od wsi swojej do malborskiego zamku. Układali je i zbierali potem pod okiem bystrzych dworzan, a złożywszy w kasie, poszli tłumnie przed więzienie, prosząc o wypuszczenie młodzieży. Strażnicy patrzyli na nich zdziwionemi oczyma, tak samo i starsi Krzyżacy, i udawali, że nikt nie umiał się z nimi porozumieć. Więc znów prosili się do samego W. Mistrza. A W. Mistrz zdziwił się jeszcze bardziej, niż jego podwładni, wysłuchawszy ich prośby i rzekł:

— Jakto? wy chcecie, abym ja wypełnił moje zobowiązanie, ponieważ wy wypełniście wasze? Ależ i ja wypełniłem je także! błagaliście o życie dla waszjej młodzieży, i darowałem jój życie, mimo wyroku. Czegoż możecie żądać więcej?

— Ależ my prosiliśmy, abys im darował życie i uwolnił ich z więzów! — wołali zrozpaczeni wieśniacy.

— E, to ja o tén wcale nie myślałem! — odpowiedział W. Mistrz. I drożył się znowu i targował, aż położył nowy warunek i wieśniacy przyrzekli wybudować na owém pastwisku wieżę strażniczą dla zamku; wtedy on obiecał uwolnić z więzów młodzież z Lichtenau.

Zatem pod kierunkiem biegłych budowniczych wojennych budowali mieszkańcy tój wioski wieżę

okrągłą, wysoką na 90 stóp. Aby zaś była trwała, i aby wieki wiedziały, iż ta wieża stanie za podatek z pastwiska, na którém pasają się mlekodajne krówki, nakazał W. Mistrz, aby wapno rozrabiano do niej jedynie maślanką. Dozorcy sur owi pilnowali, i stało się wedle rozkazu: wieżę zbudowano na maślance.

Gdy ukończono roboty, robotnicy tłumnie udali się znów do więzienia, prosząc o uwolnienie z więzów swój młodzieży. I znowu poprzedni złośliwy żarcik się powtórzył; powiedziano im, że więźniowie już są uwolnieni z więzów, ale o wypuszczeniu ich z więzienia przeciw mowy nie było. Rozpacz uciśnionych wieśniaków nie miała granic. Dostali się znów do W. Mistrza i po odpowiedniej umowie przyrzeczono im wypuścić z więzienia na swobodę owych więźniów, jeżeli oni na uwiecznienie ich kary za nieposłuszeństwo oblepią całą owę wieżę masłem...

Lud nie opierał się już wcale, bo w ciężkiej pracy całą dawną swą butę utracił. Wieś upadała, pastwiska, pola i łąny popadały w zaniebanie; brakło rąk dzielnych i silnych do ich uprawy. Jedna już tylko rzecz utrzymywała zbiedzonych ludzi przy życiu i przy jakiejś takiiej nadziei, że im się jeszcze z tój biedy wyjść uda. A były to ich pocziwe krówki. Krówki te, żywione dziwnie doskonałemi tamecznemi pastwiskami, były bowiem tak mlekodajne, że utrzymywały dotąd przy życiu całą ludność wioski, nie mogącą pracować w polach, i jeszcze dostarczyły maślanki na zbudowanie owej wieży strażniczej. W nich też była ostatnia ludu nadzieja, że i masła na oblepienie tój wieży dostarczą. Dziwaczny i dziki był ten pomysł W. Mistrza, ale dopełniono go ostatnimi siłami, bo innój rady nie było.

Długo wprzódy zbierał lud masło, nim nareszcie w ciągu jednéj nocy oblepił wieżę. Nie można było inaczej, bo latem słońce roztopiałoby w dzień robotę, a w chłody nie dałoby się masło przylepiać. Rankiem wszyscy robotnicy udali się jeszcze raz przed więzienie i przeciw na ten raz zastali już tam więźniów swych wychodzących z bram warownych. W. Mistrzowi sprzykrzyła się widać igraszka, lub konceptu dalszego zabrakło. Tak Żuławskie krówki ocaliły swoich panów i ich rodziny. Wieża strażnicza, na maślance wystawiona, otrzymała u ludu nazwę Maślankowej.

## GWIAZDKA WĘGIERSKA.

POWIEŚĆ

z czasów rycerskich

przez

**M..a**

(Dokończenie)

Pan de Varilla, wierny przyjaciel księcia Ludwika, jak był wprzód jego ojca, wysłuchał królowny i przyrzekł mówić z księciem. On jeden w całym dworze istotnie naśladował młodego księcia w postępowaniu względem królowny, to jest nie przesładował jęj, ale nie dawał wcale znać po sobie, co względem nięj myśli. Następnego dnia wypadło wielkie polowanie w okolicach Wartburga. Pan de Varilla wśród polowania w lesie znalazł łatwiej niż na zamku sposobność do rozmowy z młodym księciem. Po powrocie więc udał się zaraz skrycie do kaplicy zamkowej, gdzie najczęściej zastać można było królownę na samotnej modlitwie. Jakoż zastawszy ją, tak rzekł:

— Mówiłem z księciem, a on wskazał mi tę oto wielką górę, którą i z tego okna widzimy i powiedział, że gdyby ta cała góra była od stóp do wierzchu szczyrołota i gdyby mu ją dawano za wyrzeczenie się narzeczonej, on nie uczyni tego. Na dowód swęj pamięci, oto przysyła teraz podarunek, jaki przywiózł z podróży, ale umyślnie nie odda, bo tak ze względu na dworskie podstępny uczynić wypadało.

To mówiąc, podał pan de Varilla królownie małe zwierciadełko, i uśmiechając się mimowoli, śpiesznie uszedł, aby go kto na tajemnej z nią rozmowie nie spotkał, i przez to porozumienia królowny z księciem nie odgadł. Królowna ucieszona, ale nie zupełnie przecież jeszcze rzeczy rozumiejąc, z podarowanem zwierciadełkiem w ręce ukłękła znów do modlitwy zadumana. Zwierciadełko nie tak bardzo ją znów radowało. Wśród gorącej modlitwy, jak miała w zwyczaju, ścisnęła mimowoli w ręce zapomniany podarek, a wtém odskoczyła tajemna sprężyna, i w podwójnym dniu w grube srebro oprawnego zwierciadełka, ukazał się piękny, wspaniałej roboty krzyż...

Królowna krzyknęła radośnie; odrazu zrozumiała księcia i odzyskała swą wiarę w słowo jego, a nawet przeczuła, że wkrótce skończą się jęj utrapienia, kiedy księżę na pozór ulegać namowom jęj nieprzyjaciół się zdaje. Tak było w istocie. Bystra królowna dobrze od początku rozumiała, że ten braciszek ukochany, z którym się wychowała, jeżeli teraz zdaje się mniej do nięj przywiąza-

ny, to tylko z pozorów tak czyni, dla względów światowych, nie chcąc obruszać na siebie tych, którzy go inaczej żenić chcieli. A tymczasem utwierdzał się on na tronie i zapoznawał ze sprawami rządów swoich. Nie omyliła się też królowna co do tego, że zbliżała się zmiana jęj losów. Ukryty po za zwierciadłem krzyż, tak, jak ukryte były prawdziwe uczucia księcia poza pozorną obojętnością, napełnił królownę radością serdeczną. Odtąd z jeszcze większą niż wprzód spokojnością i pokorą znosiła swoje niedolę.

Roku 1218 w przeddzień św. Kiliana, księżę bez żadnych poprzednich przygotowań, bez uczt i turniejów, zebrał nagle najwierniejszych rycerzy, przyjaciół ojca swego, w tejsze ogromnej sali, w której dzieciną na pierwszy stopień rycerstwa wstępował. Oświadczył im, że jeżeli uznają go godnym zaszczytu rycerstwa, to nazajutrz, w dzień św. Kiliana, każe się pasować na rycerstwo, ponieważ kończy lat ośmnaście. Zdziwieni rycerze oświadczyli, że co do godności jego i zasługi, nie zachodzi żadna wątpliwość, ale że przy tak wielkiej uroczystości potrzebne są przygotowania długie i że uświetnioną być powinna obecnością najznakomitszych panujących. Ale na to księżę tak odpowiedział:

— Przyjaciele moi! Wiecie, że nie uczty i zabawy są przy przyjmowaniu rycerstwa rzeczą najważniejszą, ale czystość duszy i serca. Po to też właśnie sprowadziłem ja tutaj już od kilku miesięcy tego oto szlachetnego biskupa Naumburskiego i pod jego i pana de Varilla kierunkiem, od dwóch miesięcy dopełniam przygotowawczych do chrztu rycerskiego obrządków, wraz z Walterem von Felsburg i Fryderykiem von Szaumburg. Dosyć jest tu przy mnie zacnych dam i rycerzy, abym pomiędzy nimi znaleźć mógł do chrztu tego rodziców. Żadnych obcych panujących nie zaproszę, gdyż chcę rycerstwo moje zawdzięczać tylko Bogu i ojczyźnie. Robię zaś to wszystko skrycie i nagle dla tego, abym mógł niespodzianie być gotowym do wojny, która wisi nad krajem moim. Wiecie, że Zygfryd Moguncki gnębić nas chce w skutek dawnych z ojcem moim jeszcze zatargów, i rachując na wiek mój niepełnoletni. Otóż jutro będę pełnoletnim i rycerzem, jak tego prawa pozwalają w koniecznych razach, do wojny, jak wiecie, przygotowałem was i siebie, i kraj, od dawna po cichu. Pojutrze tedy, zamiast do uczy, siądę na koń, i wprzód, zanim się Zygfryd spostrzeże, przekonam się, że jestem godnym synem księcia Hermana. Czy teraz rozumiecie, dla czego tak dziwnie czynię?

— Teraz przekonywamy się o tém, o czém, jak powiadasz, przekona się wkrótce wróg stary

naszej ojczyzny! — odpowiedzieli dzielni i zacni rycerze, i uroczystość chrztu rycerskiego rozpoczęła się natychmiast.

Przygotowania, których książę dopełniał w skrytości od dwóch miesięcy, zasadzały się głównie wedle rycerskich przepisów na ścisłych postach, usposabiających duszę do uczuć wzniosłych; na słuchaniu nauk religijnych, wykładających wagność i świętość rycerstwa; na przepędzaniu nocy w kościele, na samotnych rozmyślaniach, na częstych kąpielach oczyszczających ciało, jak modlitwa, posty, i pokuty oczyszczały i przygotowywały duszę. Wszystkich tych obowiązków w całość ich rozciągłości dopełnił już książę Ludwik jak najściślej, jak to zaręczyli Biskup Naumburski, pan de Varilla i kilku najznacniejszych rycerzy, przypuszczonych do tajemnicy i asystujących księciu we wszystkich tych obrzędach od samego ich początku wedle zwyczaju.

W przeddzień św. Kiliana, po wyjściu z owego rycerskiego zgromadzenia z wielkiej zamkowej sali, książę, nie szkosztowawszy pożywienia ani napoju od wschodu słońca dnia poprzedniego, udał się jeszcze raz na samotną całonocną modlitwę do wielkiej zamkowej kaplicy, tej samej, w której pierwszy raz północną godzinę przepędził, będąc sześciolatniem dzieckiem. Nazajutrz rano asystujący mu rycerze wywiedli go ztamtąd i zaprowadzili jeszcze raz do łaźni. Następnie ubrano go w białe lniane suknie, tak, jak do chrztu religijnego, a na szyi, na rycerskiej białej przepasce, wyhaftowanej bogato rękami królowny Elżbiety, zawiesił mu biskup Naumburski miecz ojcowski, wyszczerbiony na karkach nieprzyjaciół ojczyzny. Z tym mieczem u szyi, mając obok siebie Waltera i Fryderyka, tak samo wedle zwyczaju przybranych, poszedł książę uroczystość w otoczeniu rycerzy do kościoła w Eisenach. Biskup Naumburski odprawił uroczyste nabożeństwo w licznej asystencji. Wśród nabożeństwa książę, klęczący w żarliwiej modlitwie na stopniach ołtarza, podał miecz swój biskupowi, który go poświęcił tak, jak do dzisiaj poświęcane bywają sztandary na wojnę. Potem biskup założył napowrót miecz na wstęde na szyję księcia.

Wtedy stało się, czego wszyscy byli ciekawi a nikt się nie spodziewał. Bo chodziło o to, kto miał mieć zaszczyt pasowania księcia? Wybór podobny padał zazwyczaj na jakiegoś panującego. Na miejscu księcia Ludwika, każdy inny młodzian byłby zażądał zaszczytnej tej usługi od samego cesarza, mając prawo do tego. A otóż młody książę nawet nie zaprosił na uroczystość cesarza. Nikt nie rozumiał pobudek takiego postępowania, później dopiero zrozumiano, że były one natchnio-

ne uczuciem chrześcijańskiej pokory godnego narzeczonego królowny Elżbiety. Powstawszy zatem ze stopni ołtarza, po poświęceniu miecza, młody książę, z rękami złożonemi kornie na piersiach, wedle przepisu przeszedł zwolna przez kościół i ukląkł z wielkiem wszystkimi zdziwieniem przed najuboższym ze starców rycerzy, ale na którego życiu nigdy skazy nie było i który ojca jego był pierwszym rycerskim nauczycielem.

Starzec ten, łzami zalany, najprzód drżące ręce podniósł nad klęczącym księciem i błogosławił go z uniesieniem, jak ojciec najlepszego syna, a potem przystąpił do obrzędu pasowania. Zdjął więc miecz z szyi księcia i począł zadawać mu uroczyste obrzędowe pytania: W jakim celu pragnie wejść do zgromadzenia rycerzy? Czy ma jakie inne cele i zamiary w życiu, prócz bronienia honoru, religii, niewiast, i wszystkiego, co uciśnionem jest i bezsilnem? Po odpowiedziach właściwych, starzec wezwał księcia swego do przysięgi rycerskiej i przyjął ją od niego. Potem, wzruszony do głębi duszy, starzec ten ubogi, błogosławiąc raz jeszcze pana swego, zakończył głośną modlitwą Symeona, prosząc Boga, aby puścił go już ze świata tego, gdy po tem, czego dzisiaj doczekał, już mu nic więcej na świecie do czynienia nie pozostaje. Wzruszenie zacnego rycerza było tak wielkie i głębokie, że udzieliło się wszystkim: lud i dzielni rycerze, wszyscy łkali ze wzruszenia, niezwykłego przy podobnych obrzędach.

Aby to wzruszenie zrozumieć, trzeba przypomnieć sobie całą wielką dumę, jaką odznaczała się owocześni panowie, i pyszne uroczystości, jakie urządzali oni przy chrztach rycerskich. Żaden z nich nigdy nie uczyniłby tego, co książę Ludwik, żaden nie wyrzekłby się otrzymania pasowania z rąk najwyższego dostojęstwem pana, gdy tylko to było możliwem. A tu tymczasem zacny domownik pasował pana swego!

Podczas gdy starzec modlił się głośno, płacząc wraz z wszystkimi, przystąpiła królowna Elżbieta, cała w bieli i w wieńcu zielonym, zamiast złotą korony i przykląkwszy przy klęczącym księciu, przypięła mu złotą ostrogę do lewej nogi. Natychmiast przystąpiła bogato ubrana księżniczka Agnieszka i przypięła księciu drugą ostrogę, potem co najznakomitsze panienki i panie, za przewodem księżnej Zofii, wkładały na księcia z kolei wszystkie części rycerskiego uzbrojenia. Nakoniec znów królowna Elżbieta przypasała mu miecz poświęcony. Wtedy starzec gołym mieczem po trzykroć dotknął ramienia księcia, mówiąc uroczystość:

— W imię św. Michała i św. Jerzego czynię cię rycerzem! bądź pobożny, dzielny, i prawy!

To uczyniwszy, stary rycerz rzucił się do nóg

pana swego, gdy ten powstał; książę podniósł go i sam uściskał. Tymczasem królowna Elżbieta podała mu hełm, na którym tejże chwili na prośbę księcia zawiesiła przepaskę swą białą, odpiąwszy ją od sukni. Księżniczka Agnieszka podała włócznię. Trąby rycerskie zabrzmiały, okrzyki ludu otaczającego kościół wstrząsnęły powietrzem i młody rycerz, odmówiwszy żarliwą modlitwę, wyszedł w pełnym uzbrojeniu z kościoła, wsiadł na rumaka, przyprowadzonego mu przez najznakomitszych rycerzy, i zwolna powrócił do zamku, wśród najpiękniejszej pogody, jakby niebo samo uśmiechało się do młodego księcia. Przez czas, gdy książę się modlił, dwaj rycerze dopełniali obrzędu pasowania na Walterze i Fryderyku.

Nazajutrz, najniespodziewaniej dla panujących sąsiadów, rycerski książę wyruszył na wojnę. Wkroczywszy do nieprzyjacielskich posiadłości, książę upokorzył dawnego nieprzyjaciela swego ojca i zmusił go do proszenia o pokój. Przy prowadzeniu tej wojny, rozwinął taką znajomość wojennej sztuki, a przy zawieraniu pokoju okazał się tak umiarkowanie mądrym, że odrazu wszyscy sąsiedzi poczuli i u znali jego wyższość i potęgę; stronnictwa, podstępny, podszepty, wszystko umilkło, uchylili czoła.

Wtedy to dopiero, powróciwszy do Wartburga, młody książę jasno, krótko i stanowczo oznajmił, że dnia tego a tego odbędą się jego zaślubiny z królowną Elżbietą Węgierską. Nikt ani ust nie śmiał otworzyć przeciw temu postanowieniu. Na ten raz jednak książę poszedł za dawnymi ojcowskimi tradycjami, co do wspaniałości zachowywanej w podobnych okolicznościach. Co istniało najznakomitszego w Niemczech, wszystko zostało zaproszone i wszyscy przybyli i podejmowani byli z niesłychanym przepychem kosztem księcia, pomieszczeni w Eisenach i w przygotowanych naumyślnie budynkach. Wesele odbyło się roku 1220. Wszystkie dawniejsze nieprzychylne panie ubiegały się w usługiwaniu pannie młodej. Co było najznakomitszego pomiędzy pannami niemieckimi, służyło jej przy ślubie. Książę sam, nie zwracając najmniejszej uwagi na dobijanie się wielkich panów o zaszczyt prowadzenia panny-młodej do ołtarza, naznaczył do tego dwóch jedynych rycerzy, którzy nigdy jej niczém nie dokuczili, a przywieźli mu ją z Węgier dzieciną: pana Meinharda de Mühlberg, i pana Ganthiera de Varilla.

Kroniki owoczesne nie mają wyrazów na opisanie wspaniałości tego wesela, piękności muzyki w kościele, w czasie tańców, i przy ucztach, przepychu strojów, zabaw, turniejów, a nadewszystko piękności panny-młodej i wielkiej powagi, jaką dzielny i mądry książę Ludwik jaśniał w licznym

gronie potężnych, otaczających go panów. Książę Ludwik miał wówczas lat dwadzieścia, a księżna Elżbieta trzynastcie, gdy jakby prawdziwa Gwiazdka roztoczyła nad Turynią swobodnie nareszcie promienie dobroci i miłości chrześcijańskiej.

## ZE WSPOMNIENIŃ DZIECIĘCYCH WŁODZIA T...

(Dalszy ciąg.)

Idąc dalej Krakowskim Przedmieściem, na przeciw kościoła Ewangelickiego, spotykało się ogródek, zwany „Tivoli”, a w nim letni teatr lubelski (dziś już zniesiony), huśtawki, strzelnice, kręgle i inne zabawy. Bywaliśmy tam często, bawiąc się wesoło; szczególnie zostały mi w pamięci szumnie zapowiedziane na kolorowych afiszach „Włoskie nocy” różnokolorowe papierowe lampki, gdzieniegdzie zawieszone na drzewach, niefortunnie po większej części udające się rakiety i fajerwerki; muzyka, gwar, cicha noc letnia, wpływały pewno na to, że owe wieczory czarodziejsko-fantastycznie mi się przedstawiały, wywierając głębokie wrażenie na dziecinnym umyśle.

W jedną z takich improwizowanych Włoskich nocy, widzieliśmy w teatrze letnim przedstawienie „Młyna Dyabelskiego”, znanego fantastycznego melodramatu, który dziwnie rozbudził i zajął mój umysł dziecinny. Jasnowłosa, różowo ubrana dziewczynka, ze skrzydłami anioła, cudownie wtedy dla mnie spuszczająca się z obłoków, nieraz mi się później we śnie ukazywała... deszcz ognisty i potworne dyabłów postaci, i śmierć koścista, z tradycyjną kosą w rękę, dreszczem mnie przejmowały, i mama wiele miała kłopotu, nim mnie uspokoić i przekonać potrafiła, że to nie rzeczywiste złe duchy, i nie śmierć prawdziwa!

W tym samym letnim teatrze widziałem mamę moję rodzoną występującą w przedstawieniu amatorskim. Pamiętam jak to było: czteroklasowa realna szkoła w Lublinie, dla utrzymania swego istnienia, potrzebowała posiłku, dla tego urządzone szereg amatorskich przedstawień. Aby im zapewnić lepsze powodzenie, ś. p. Wł. K. Wójcicki uprosił znakomitego artystę warszawskiego teatru a swego przyjaciela, Jana Królikowskiego, by nie odmówił swego współudziału. To też obaj przybyli do Lublina i wtedy miałem szczęście widzieć u moich rodziców ś. p. Wójcickiego.

Czerstwy był wtenczas jeszcze, wesół, nadzwyczaj uprzejmy dla wszystkich, ożywiony, opowiadał zajmujące, jak jego opisy, dykteryjki, a wypadki krajowe przedstawiał z taką prostotą i pra-

wdą, że gdybym się tylko na to odważył, potrafiłbym dziś wszystko powtórzyć. Królikowski był również u nas, nawet dawał rozmaite wskazówki i rady osobom, należącym do amatorskiego przedstawienia. Grali wtenczas „Cicha woda brzegi rwie” i inne komedyjki. Mama moja miała rolę despotycznej, hałaśliwej profesorowej. Królikowski w antraktach deklamował wiersz: „Loterya i wyprzedaż”.

Piękny obszerny plac, na którym się wznosi wśród ogródka wspaniała czarna obelisk z wyobrażeniem Jadwigi, podającej rękę Jagielle, pamiątka Unii Lubelskiej, był miejscem naszych codziennych zabaw, salonem letnim, gdzie się zbierały dzieci całego miasta, dzieląc się na przyjacielskie kółka, tworząc następnie obozy, urządzając walki, sejmiki i zabawy prawdziwie zajmujące. Dziewczynki skakały przez sznurek, posuwały obręcze, wozily w ozdobnych wózkach swoje lalki, oddawały sobie wzajemnie wizyty, a często przyglądały się ciekawie naszym zapasom, przyklaskując walecznym.

Jeszcze przed naszym wyjazdem z Lublina, plac ów zwany Litewskim zmienił zupełnie swoją postać; niedaleko pomnika Unii stanął Sobor Prawosławny, z licznymi szafrowemi, bizantyjskimi kopułami, złożonemi u szczytu. Na około cerkwi założony ogródek dziś już znacznie się rozrósł, plac stracił swój dawny charakter...

Wznoszący się naprzeciw placu kościół Kapucynów, ma także dla mnie swoje wspomnienia. Świątynia ta zbudowana w stylu pełnym prostoty, jak zwykle wszystkie klasztory kapucyńskie, posiada kaplicę cudownej Matki Boskiej, dziwnej piękności. Kaplica niewielka, w stylu gotyckim, ma sklepienie błękitne, usiane gwiazdami; światło, słabo wpadające przez wąskie kolorowe szyby, oświeca pięknie wyrzeźbioną z białego marmuru postać Najświętszej Panny, bez żadnych ozdób dodatkowych, postać świętą, prawdziwie niebiańską. Tam zawsze modliliśmy się z rodzicami, tam odbył się przed dwoma laty ślub milutki naszej siostrzyczki Mani S. z panem O. obywatelem z Radomskiego, na który to obrzęd umyślnie zjechaliśmy z Warszawy.

W podziemiach tego kościoła mieszczą się groby książąt Sanguszków, fundatorów świątyni. Niezatartego nigdy doznałem wrażenia, zwiedzając z rodzicami to miejsce; towarzyszył nam ks. Alfons Kulesza, Kapucyn, staruszek, jedyny dziś pozostały kapłan z dawnego zgromadzenia, z śnieżną, długą brodą, z czerstwem, uśmiechniętym obliczem, w grubiej kapucyńskiej sukni, białemi ujętej sznurami, dodawał nam odwagi, gdyśmy wstępowali do ponurych sklepionych podziemi,

gdzie stało tyle trumien!... Długo zapomnieć nie mogłem staruszki w robionie i dużym czepcu, pochowanej w bogatej trumnie i drugiej rycerskiej postaci mężczyzny, w długich palonych butach z ostrogami. Czaszka świeciła resztkami włosów, które się osunęły, długie zawiesziste wąsy nadawały marsowy pozór od wieku śpiącemu w Bogu... Pamiętam małe, może dwuletnie dziecko, tak dziwnie zachowane, że zdawało się śpiące w trumience z pełną, uśmiechniętą buzią i jasnymi dokoła włosami... W ogóle cała ta długa ulica, Krakowskiem Przedmieściem zwana, jest dla mnie bardzo pamiętną, począwszy od bramy Krakowskiej do rogatki. Wzdłuż tej ulicy odbywałem pierwsze moje próby konnej jazdy. Co to było za szczęście, gdy dostaliśmy od ojca prawdziwego, żywego małego konika, kuca, który się „Maciusiem” nazywał! Dostaliśmy przytém ładny czaprak, siodelko, a służący Karol tak starannie czyścił i pielęgnował konika, że się niezadługo wypasł znakomicie. Mój braciszek Kazio miał już wtedy lat pięć i także rościł sobie prawo do konnej jazdy. Walki też o pierwszeństwo staczaliśmy ogromne; nakoniec, żeby nas pogodzić, służący Karol zdecydował tak: że ja, jako starszy, mam jechać pierwszy, następnie po kilku minutach Kazio, potem znowu ja itd. Trudno sobie wyobrazić coś pociesniejszego, jak ten widok. Jeden z nas z tryumfującą miną jedzie na tłustym Maciusiu, Karol dla bezpieczeństwa podtrzymuje jeźdźca, biegnąc z boku, a drugi biegnie z tyłu zgrzany, dopominając się swojej kolei. Po Krakowskiem Przedmieściu właśnie odbywaliśmy podobne przejażdżki, bawiąc tęp osobliwszém widowiskiem przechodniów i znajomych.

(D. c. n.)

## B A Ś N I.

### SŁÓWKO WSTĘPNE.

Baśni?! Mają też co drukować, baśni! to mi dopiero literatura! a przecież je każda nianka dzieciom opowiada. Powiedzą tak może nasi czytelnicy, gdy przeczytają powyższy tytuł, a odsunąwszy numer, dodadzą z niechęcią: To nie dla nas!

Cierpliwości jednak, mili czytelnicy.

Posłuchajcie tylko. Tak, przynosimy wam baśni, choćby dla tego, aby przypomnieć owe chwile najrańszego dzieciństwa, kiedy to z zaiskrzonemi oczęty i zarumienioną twarzyczką słuchało się owych ciekawych opowiadań o zaczarowanych zamkach, rycerzach i cudowném ziele, otwierającém wszystkie bramy; a co najwięcej,

dajacem od razu moc wiedzy, którą my, zwykli śmiertelnicy, musimy z takim trudem zdobywać. Nie samo jednak to wspomnienie mamy dziś na celu.

Wiek młodzińczy, żyjąc chwilą obecną, a wyglądając chciwie przyszłości, nie potrzebuje jeszcze zwracać się do owych wspomnień. Lecz wiek młodzińczy jest najskłonniejszym do marzeń, do strojenia w fantastyczne szaty wszystkiego, co około siebie spotyka; a gdzie jest więcej fantazy, jak w baśniach?

Zarazem jednak kryje się w nich najczystsza prawda, ustrojona tylko w fantastyczne i ułudne szaty. Dla tego więc podajemy baśni, aby zarazem wytlómaczyć owę ukrytą w nich prawdę, i zapoznać czytelników naszych z odrębnym zupełnie działem literatury, to jest z literaturą ludową, czyli podaniową, będącą źródłem narodowej poezyi.

Baśni w literaturze, w ogóle, mają ogromne znaczenie; zrozumienie ich i szukanie w nich ziarenek prawdy podaje klucz do zrozumienia przeszłości, wierzeń, zwyczajów i obyczajów ludu, który bezwiednie szuka tej odwiecznej siły, łączącej człowieka z przyrodą, podciągając wszystkie niezbędne jęj tajemnice pod jakieś czary i cuda. Owo szukanie ukrytych skarbów nie jest niczem innem, jak tylko wskazówką, że ziemia ma w swém łonie nieprzebrane bogactwa; że zaś niekażdy umiał ich dobyć, nie znając na to sposobu, ci więc, którzy przypadkiem lub za pomocą pracy umieli te skarby odnaleźć, dla ogółu, dla ludu, byli jakimiś istotami nadprzyrodzonymi, którym przypisywano złą lub dobrą siłę; słowem w wyobrażeniu ludu byli to *czarownicy* lub *znachory*.

Toż samo było i z *zaczarowanymi* ziołami. Ludzie żyjący najwięcej z naturą, ci, którym nie wsmak była ciężka fizyczna praca, szukali wśród pól i łąków łatwego pożywienia. Szukając go, poznawali własności ziół, używali ich jako środków zaradczych w chorobach ludzi i zwierząt, a przechodząc od chaty do chaty, od wioski do wioski, wszędzie ugoszczeni i obdarzeni, znajdowali łatwy sposób utrzymania.

W pierwotnem życiu każdego narodu ludzi takich było bardzo wielu; u nas, jako w kraju zarosłym ongi licznymi lasami, było ich może więcej, niż gdzieindziej; a lud, skłonny z natury do wiary w nadprzyrodzone zjawiska, przypisywał tym czarownikom i czarownicom, znachorom i znachorkom, siłę jakąś nadprzyrodzoną, za pomocą której umieli odkradać tajemnice matki przyrody. Że zaś tacy czarownicy i czarownice byli to po największej części ludzie starzy, często upośledzeni i oszpeceni z natury, dodający sobie jeszcze powierzchnowej brzydoty, prócz tego nad każdym

podawanem ziołem wymawiający jakieś niezrozumiałe wyrazy, utwierdzili przekonanie powszechne w moc swoją i zdobyli panowanie nad umysłem ludu.

Lud, wierząc w ich czarodziejską umiejętność, bał się ich, szanował, a zarazem otaczał ich fantastycznym urokiem, dając na mieszkanie bogate, kryształowe, przetykane srebrem i złotem pałace, jak gdyby chciał tęp wskazać, że ludzie ci umieją szukać swęj wiedzy, tak samo w głębi morza, jako też sięgnąć aż ku niebu i porwać się na badanie złotęj tarczy słońka i srebrnej pyzatej twarzy księżycy.

Wszystkie wyżyny w ogóle, tam, zkąd im się zdawało, że już są bliżej nieba i bóstwa, a więc doskonałości, przeznaczali na mieszkanie czarowników i królów, sprowadzających dobro i szczęście, oraz posiadających wszechwiedzę. Tym zaś, co szkodzili światu, od których nieszczęście i wszelkie zło na ludzi spadało, którzy uciemieźali lud i każdego, co się do nich zbliżył, zaprzęgali do pracy, wyzyskując ją dla siebie, dawano zwykle mieszkania pod ziemią, w jakichciś głębinach, gdzie światło nigdy nie rzuca swoich dobroczynnych promieni.

Czyż w tęp nie widzimy na dnie prawdy? Czyż niema w tęp dwóch widomych prądów, światła i ciemności, staczających ze sobą bezprzebraną walkę? Światło i wiedza, rozlewając dobroczynne promienie, przygarniają i łączą wszystkich, panując zarazem miłością pracy i prawdy. Wszelki zaś wsteczny kierunek, przyciemniający owę pracę, wszelkie zapory i przeszkody, zresztą samo próżniactwo, nie jestże owym podziemnym czarownikiem, który spożywając pracę innych, nęka swą beczynnością i głupotą każdego, co się doń zbliży?

Walka ta, znana w baśni oddawna, ma ogromne znaczenie, zastosowane, tak do całego społeczeństwa w ogóle, jak i do każdego człowieka w szczególności. Wszak wszystko zło musimy pokonywać pracą nad sobą i wiarą w prawdy wpojone w nas z religią, tak samo, jak w bajce rycerze i rozmaici bohaterowie pokonywali napotykanne przeszkody. Prócz tego, z baśni widzimy jasno, że lud nasz w głębi jest moralny i wierzący, a chociaż dziś między nim widzimy dużo złego i zepsucia, nie uprzedzamy się jednak, i nie miejmy do tego ludu niechęci. Dużo się złożyło na to jego zepsucie; może o tęp kiedyindziej powiemy, obecnie patrzmy na niego, jak się zwykle patrzy na tych, których umysł obłąkany często szkodzi sobie i drugim, nie widząc jasno i nie umiając rozróżnić barw. Patrzmy na niego z pobłażaniem i litością. Z baśni bowiem dopatrujemy się pierwotnej natury ludu i dokładnie widzimy, że w opo-

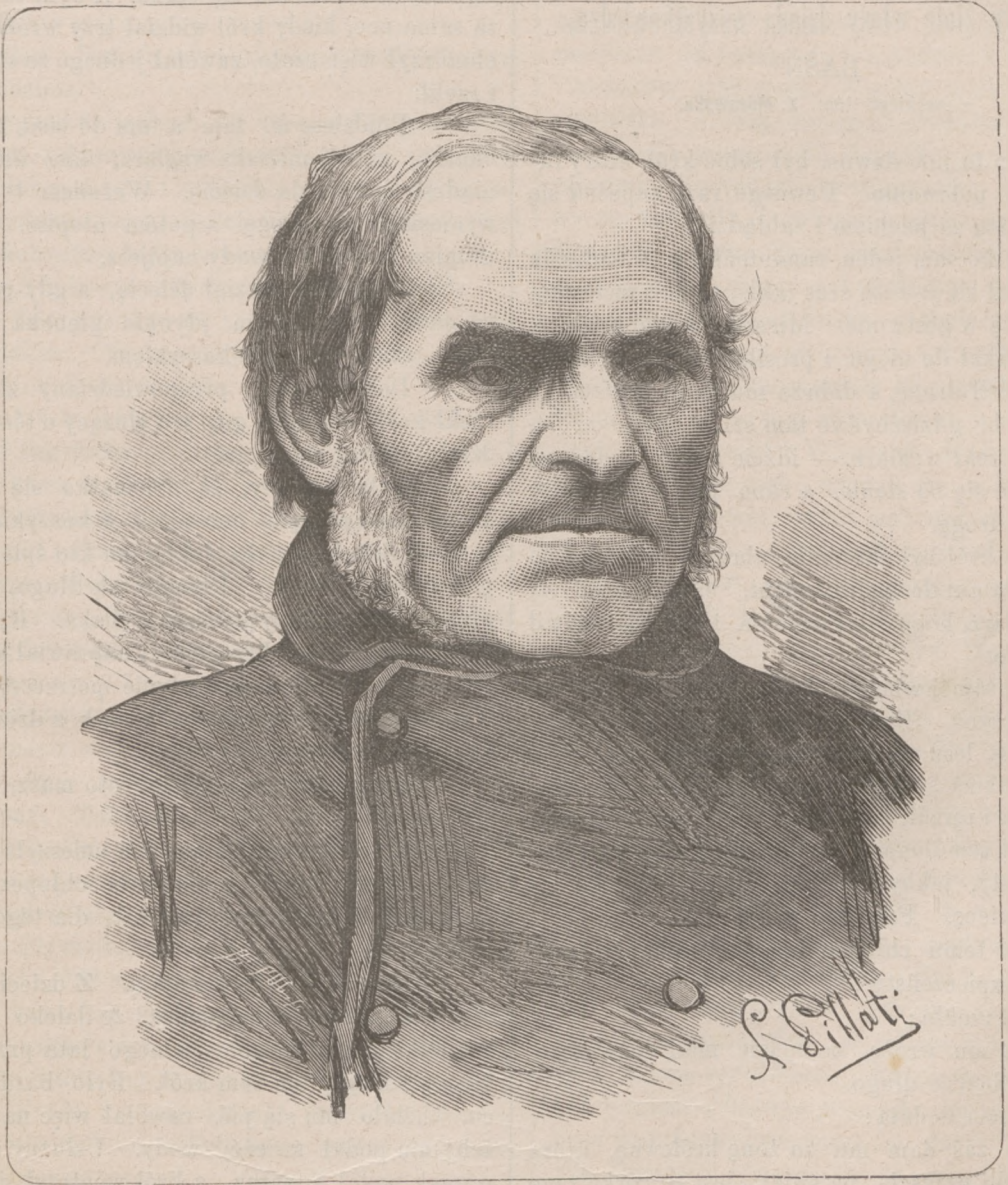


wiadaniach ich złe odbierało karę; dobre zaś, po przebyciu rozmaitych prób, otrzymywało wreszcie zasłużoną nagrodę. Jest więc tam zrozumienie dobrego i złego; lecz ułomna natura ludzka łatwiej ku złemu popycha.

Prócz wymienionych głównych dążeńi każdój baśni, moglibyśmy wskazać jeszcze bardzo wiele

powiedzieli co przez którą z tych baśni rozumieją. Zawiąże się pomiędzy nami jeszcze obszerniejsza korespondencja, a więc i ściślejszy stosunek, który powinien zawsze łączyć każde pismo z czytelnikami.

Że zaś nietylko u nas lud umie ubarwiać i stroić w fantazyę codzienne zdarzenia, lecz każdy lud



Wacław Aleksander Maciejowski.

innych, mających najwidoczniejsze znaczenie przeszłości, a często i przyszłości kraju. Jest tam również dużo zdrowych rad postępowania, mających związek z całą przeszłością narodową, ale zostawiamy odszukanie tej prawdy naszym czytelnikom, prosząc ich, aby po przeczytaniu każdój z podanych baśni, w miłych zawsze dla nas liścikach, wy-

ma niezliczoną ich ilość, a baśni te nie działają ujemnie na młodociane umysły, dowodem tego licznie wychodzące baśni (Märchen) u Niemców, którzy oddawna pracują, aby swoje społeczeństwo jak najtrzeźwiejszém i jasno patrzącém uczynić. Nie będziemy jednak pożyczać od nich owych *Märchen*; nie potrzebujemy tej cudzoziemszczyzny,

mamy swoich poddostatkiem. Mamy prócz tego baśni pobratymczych nam słowiańskich ludów, z których zaraz na początek podamy czytelnikom przełożoną z czeskiego, na zakończenie której dodajemy wytlómaczenie jej znaczenia, pozostawiając szukanie prawdy w następnych miłym naszym czytelnikom.

Z. Morawska.

## I) Trzy złote włosy dziada wszystkowiedza,

### BAŚŃ

z czeskiego tłóm. Z. Morawska.

Dawno to już, dawno, był sobie król, który lubił bardzo polowanie. Pewnego razu zapuścił się w głąb lasu za jeleniem i zabłądził.

Był tylko sam jeden, samiuteńki, a tu nadeszła noc; błąkał się jeszcze czas jakiś, aż nareszcie znalazł chatkę w gęstwinie. Mieszkał w niej węglarz. Król zapukał do niego i prosił, aby go na dobrą wyprowadził drogę, a dobrze mu za to zapłaci.

— Ech! gdzieżbyście tam szli w taką noc ciemną, — rzekł węglarz, — idźcie oto na poddasze, prześpijcie się na sianie, a rano was wyprowadzę na dobrą drogę.

Że zaś król był skromnie ubrany, nie miał na sobie złota ani drogich kamieni, nie domyślał się więc węglarz, kogo miał u siebie, i dla tego mówił tak śmiało.

W tój samėj właśnie chwili żonie węglarza dał Pan Bóg syna. Król zaś, wszedłszy na poddasze, położył się, lecz nie mógł zasnąć. O północy ujrzał na dole jakieś światło. Spojrzał przez szczelinę w pułapie i ujrzał, że węglarz spał, żona jego leżała nawpół zemdlona, a nad dzieciną stały trzy stare niewiasty, jakby cienie, a każda trzymała zapaloną świecę. Pierwsza rzekła:

— Ja temu chłopcu daję moc unikania wszelkich niebezpieczeństw.

Druga rzekła:

— Ja mu wróżę, że będzie miał dużo szczęścia i żyć będzie długo.

A trzecia dodała:

— Ja zaś dam mu za żonę królowę, która w tój chwili przysła na świat; jest to córka tego króla, który właśnie śpi tutaj na górze na sianie.

Poczem zrobiło się cicho, niewiasty zgasiły światło i znikły, bo to były wróżki.

Królowi jakby kto miecz w serce włożył. Nie spał już do rana i rozmyślał nad tём, co wróżki mówiły. Gdy się rozwidniło, dziecko zaczęło płakać, węglarz wstał i ujrzał, że żona jego zasnęła snem wiecznym.

— Ach, mój biedny sierotenko! — narzekał — co ja też z tobą pocznę?

— Daj mi to dziecko — rzekł król — postaram się o to, żeby mu było dobrze na świecie, a tobie dam tyle pieniędzy, że do śmierci nie będziesz potrzebował palić węgla.

Węglarz się ucieszył, a król przyrzekł, że zaraz przyśle po dzieciątko.

Gdy powrócił do zamku, dworzanie wyszli na jego spotkanie, oznajmując radośnie, że właśnie tój nocy urodziła mu się córka. A była to właśnie ta sama noc, kiedy król widział trzy wróżki. Zachmurzył więc czoło, zawołał jednego ze służących i rzekł:

— Pójdiesz mi tam a tam do lasu, stoi tam chatka, w niej mieszka węglarz; dasz mu te pieniądze, a on ci da dziecko. Weźmiesz to dziecko, wyniesiesz na drogę, a potem utopisz. Jak nie utopisz, to sam się wody napijesz.

Śługa poszedł, wziął dziecko, a gdy przyszedł na most, pod którym płynęła głęboka i bystra rzeka, rzucił dziecko z koszykiem.

— Dobrój nocy, przepowiedziany zięciu — rzekł król radośnie, gdy mu służący o tём powiedział, i zasnął spokojnie.

Król był pewny, że dzieciątko się utopiło. Tymczasem płynęło ono sobie w koszyku, jakby je kto kolebał; a spało, jakby mu kto śpiewał najpiękniejsze piosenki. Płynęło tak długo, aż przypłynęło do chałupy jednego rybaka. Rybak siedział właśnie nad brzegiem i naprawiał sieci, aż tu widzi zdaleka, że coś płynie po rzece; skoczył więc do czołna i wyratował koszyk z dziećciem. Przyniósł je do żony i rzekł:

— Pragnęłaś mieć synka, oto masz, przyniosła nam go woda.

Żona rybaka bardzo się tём ucieszyła, bo nie miała wcale dzicci, wychowała chłopczynę jak swego i dała mu imię *Pływaczek*, dla tego, że im przypłynął.

Rzeka płynie, a lata mijają. Z dziecięcia wyrósł tak piękny młodzieniec, że daleko naokoło nie było mu równego. Jednego lata przejeżdżał konno tamtędy ten sam król. Było bardzo gorąco, chciało mu się pić, zawołał więc na rybaka, żeby mu podał świeżej wody. Usłużny zaś Pływaczek podał ją zaraz, a król wpatrzył się w niego i rzekł:

— Dziarskiego masz chłopca, czy to syn twój, rybaku?

— I tak i nie — odrzekł rybak — będzie temu już ze dwadzieścia lat, przypłynęła do nas w koszyku mała dziecina, i wychowaliśmy ją sobie?

Królowi aż pociemniało w oczach, zbłądł jak ściana, bo odrazu domyślił się, że to był ten sam, którego on kazał utopić. Zapanował jednak nad sobą, zeskoczył z konia i rzekł:

— Potrzeba mi posła do mego królewskiego zamku, a nikogo nie mam przy sobie, możeby ten chłopiec tam poszedł?

— Na rozkaz W. K. Mości zaraz pobieży — rzekł rybak.

Król siadł i napisał taki list do królowej;

„Chłopiec, który ci odda list, ma być ścięty niezwłocznie, jest to mój nieprzyjaciel; nim wrócę, wyrok niech będzie spełniony. Taka moja wola”.

Potém list złożył i zapieczętował własnym pierścieniem.

Pływaczek wybrał się zaraz i ruszył z listem w drogę. Idąc wielkim lasem, zamyślił się; przeszedł dobrą drogę i zabłądził. Błąkał się długo, aż nareszcie zaczęło się ściemniać. Wtém spotkał starą kobiecinę, która mu rzekła:

— A gdzie to, Pływaczku, gdzie?

— Idę z listem do królewskiego zamku i oto zabłądziłem. Nie moglibyście mię, matko, wyprowadzić na dobrą drogę?

— I tak już dziś nie zdążysz do zamku — rzekła staruszka — zostań u mnie na noc, wszak nie będziesz u obcych, bo jestem ci kumą.

Młodzieniec nie dał się długo namawiać, a oto przed nimi ukazała się maleńka chatka, tak, jakby nagle z ziemi wyrosła.

W nocy, gdy chłopiec zasnął, staruszka wyjęła mu list królewski z kieszeni, a na jego miejsce włożyła inny, w którym tak stało:

„Młodzieniec, który ci odda list, ma zaraz poślubić naszą córkę; jest to mój najszczęśliwszy przyjaciel. Nim powrócę, niech rozkaz mój będzie spełniony. Taka moja wola”.

Gdy królowa list odczytała, sprawiła weselne gody, a tak sama królowa, jak i królowna, nie mogły się dość nachwalić młodzieńca, tak im się podobał. Pływaczek zaś ze swoją młodą żoną, córką królewską, był bardzo szczęśliwy.

W kilka dni król powrócił, a gdy się dowiedział o wszystkim, rozgniewał się ogromnie na królową, która mu rzekła:

— Królu, a małżonku mój, przecież sam nakazał, aby ślub się odbył zanim powrócisz; a oto twój własnoręczny list.

Król wziął list do ręki, obejrzał go na wszystkie strony i musiał przyznać, że to jest list jego własny. Kazał więc zawołać zięcia i wypytywał go, co, i jak, i gdzie chodził?

Pływaczek opowiedział, którędy szedł; mówił, że w lesie zabłądził, i został na noc u stariej swojej kumotry.

(D. n.).

## LISTY Z WARSZAWY.

Kazio do Maryni.

Kochana siostrzyczko! W ostatnim N-rze naszego Pisma czytałaś opis pogrzebu ś. p. Szujskiego; teraz ja znów opowiem ci o pogrzebie, który się odbył u nas w Warszawie i na którym byłem osobiście. 10 Lutego b. r. zakończył życie sędziwy i zasłużony pracownik, Wacław Aleksander Maciejowski. Mówią, że nagła wiadomość o śmierci Szujskiego niezmiernie bolesne na nim wywarła wrażenie i śmierć jego przyspieszyła. Na pogrzebie zgromadziła się młodzież uniwersytecka, profesorowie i liczne tłumy publiczności. Przed trumną niesiono wieńce od studentów i profesorów. Ks. Chełmicki miał bardzo piękną mowę, z niej dowiedziałem się o niektórych szczegółach z życia Maciejowskiego, nieznanych mi przedtém, śpieszę też zapisać je w tym liście dla wiadomości twojej i innych czytelników Wieczorów Rodziny.

Ś. p. Maciejowski urodził się w Kalwarii roku 1793, pierwsze nauki pobierał w Piotrkowie w szkole Pijarów, gdzie brat jego był profesorem. Był on wówczas zupełnym sierotą, a tak ubogim i opuszczonym, że XX. Pijarzy dużo mieli trudności z odszukaniem jego metryki. Musiał jednak bardzo się pilnie do nauk przykładać, skoro wyszedł na tak uczonego człowieka. Po ukończeniu szkoły pijarskiej w Piotrkowie, Maciejowski wstąpił do akademii krakowskiej, a następnie uczęszczał jeszcze na uniwersyteta w Berlinie i Getyndze, kształcąc się na prawnika. Po powrocie do kraju otrzymał w Warszawie posadę profesora, najpierw w liceum, następnie w uniwersytecie, i akademii duchownej, gdzie wykładał kolejno prawo i literaturę starożytną. Był przytém sędzią trybunału. Maciejowski głównie poświęcał się historii prawodawstwa, wydał też kilka dzieł cennych w tym przedmiocie, z tych najobszerniejsze pod tytułem: *Historja prawodawstw słowiańskich*. Inne ważniejsze jego prace są: *Polska pod względem obyczajów i zwyczajów, Piśmiennictwo polskie od czasów najdawniejszych aż do r. 1830. Dzieje Polski przedchrobrowe. Historja włościan. Żydz w Polsce, na Rusi i na Litwie*, nakoniec do samej śmierci zbierał materyały do historii miast polskich, która podobno prawie ukończona pozostała w rękopisie. Pracował on niezmiernie przez lat sześćdziesiąt kilka. W Pisemku naszym podany jest dziś wizerunek Maciejowskiego.

A teraz, kochana siostrzyczko, muszę ci jeszcze donieść o książkach dla młodzieży, które wy-

szyły tak późno przed Nowym rokiem, że nie mogłem ci o nich wspomnieć w ostatnim liście zeszłorocznym. Są jednak pomiędzy nimi bardzo dobre i szkoda byłaby o nich zamilczeć. Wyszła na przykład śliczna książka pod tytułem: *Czary w krainie wiedzy*. Tytuł to ciekawiający, nieprawdaż? Otóż i książeczka jest ciekawa. Rzadko kto zastanawia się nad tém, jakie to dziwne, czarodziejskie prawdziwie rzeczy dzieją się nieustannie na tym świecie, bo najdziwniejsze widoki nam spowszedniały, oswoiliśmy się z nimi i nie zwracamy na nie uwagi. Śliczna gwiazdka śniegowa, co z kropelki wody powstaje, kwiatek wychylający się z osłonek zielonych, gdy słońeczko przygrzeje, motyl wydobywający się z martwój na pozór poczwarki, jakby się ze snu przebudził, i tyle, tyle innych zjawisk przyrody roztacza się przed nami. Zrozumieć ich wszystkich nie możemy, bo też i najwięksi uczeni nie są w stanie zgłębić cudownych dzieł Bożych, ale każdy, i uczony, i prostaczek, i dorosły, i dziecko nawet, podziwiać może ich piękność. W książeczce, o której mowa, jest dziesięć rozdziałów, wyliczę ci ich tytuły, to ci da o nią najlepsze wyobrażenie. 1. Jak się dostać do krainy czarów, jak z niej korzystać i jak się nią cieszyć. 2. Promienie słoneczne i praca, której dokonywają. 3. Powietrzny ocean, w którym żyjemy. 4. Kropla wody i jej przeistoczenia. 5. Dwaj wielcy rzeźbiarze, woda i lód. 6. Głosy przyrody, i jak je słyszeć możemy. 7. Życie pierwiosnka. 8. Dzieje kawałka węgla. 9. Pszczoły w ulu. 10. Pszczoły i kwiaty. Dodam jeszcze, że książka ta ma ładne obrazki, tak dla ozdoby, jak i dla objaśnienia naukowych przedmiotów. Książka ta tłómaczona jest z angielskiego, autorka jęj, Arabella Buckley, wszystkie te rozdziały wypowiedziała w Londynie w formie odczytów dla młodych słuchaczy. Jaka to szkoda, że u nas w Warszawie nie urządzają kiedy podobnych odczytów dla młodzieży. Druga książeczka, o której ci dziś chcę donieść, jest przeznaczona dla młodziej dziatwy, tytuł jęj: Powiastki i nauczki dla dzieci p. Maryą Pape Carpentier, przekład z francuzkiego. Nie nowe to jest dziełko, ale musi być dobre, skoro we Francyi było już w dwunastu wydaniach drukowane. Mamie polecam znów *Kuchnią dyetetyczną* wyborną książkę, którą możnaby nazwać naukowo kucharską.

Odczytawszy list mój dzisiejszy, widzę, że wcale nie jest zabawny, ale wybacysz mi to zapewne, siostrzyczko, pomnąc na wielki post, porę roku na umartwienie przeznaczoną. W przyszłym liście będę się starał poprawić i zabawniejsze wiadomości pozbierać w naszej kochanej Warszawie. Ale, ale, co za roztargniony człowiek ze mnie; zapo-

mniałem ci wspomnieć o rzeczy bardzo zajmujących. Oto redakcja nasza otrzymała list z Zakopanego od pewnego młodzieńca, któremu doktor (ten sam, co to mnie kiedyś w góry wysłał był na wakacje) kazał tam stale mieszkać przez cały rok. Korespondent ów donosi, iż teraz w zimie wieje często w Zakopanem straszliwy wicher, który tam nazywają *halnym*, od hal, pastwisk leżących wysoko na górach, bo ztamtąd ten wicher spada na doliny. Redakcja prosiła młodego podróżnika, aby nadesłał obszerniejszą korespondencją z Zakopanego, i opisał szczegółowo, co tam się dzieje zimą; bo chociaż niektórzy czytelnicy Wieczorów zwiedzali Tatry wśród lata, żaden jednak nie ma nawet wyobrażenia, jak wyglądają w zimie. Mam nadzieję, że korespondent nie odmówi wezwaniu redakcyi i nadesłże wkrótce liścik, który będzie mógł być zamieszczony w naszym Pisemku.

A teraz na zakończenie przypominam wszystkim czytelnikom Wieczorów, zamieszkałym w Warszawie, że pan Babiński, redaktor Przeglądu pedagogicznego i przełożony szkoły, otworzył i w tym roku, tak samo, jak lat poprzednich, piękne swoje muzeum pedagogiczne na Sewerynowie. Ponieważ już nieraz o tém muzeum pisałem szczegółowo, więc nie będę tego powtarzał, upewniam tylko wszystkich, którzy jeszcze tego szacownego zbioru nie oglądali, że jest wart widzenia i z pewnością trudu nie pożałują, jeśli się w niedzielę na Sewerynów wybiorą.

A teraz bywaj zdrowa, siostrzyczko kochana.

Twój przywiązany brat

Kazio.

## MAŁY HRABIA,

przez Guide,

przekład z angielskiego.

(Dalszy ciąg).

— Niema komu zrobić cośkolwiek w domu — zawołała z rozpaczą ruda dziewczynka. — Matka leży chora, Tom skaleczył sobie nogę, a kto będzie dziecka pilnował? Wywróci na siebie kocięł z gorącą wodą i na śmierć się sparzy.

— O mój Boże! — zawołał ze współczuciem Bertuś. — Ale pocóż idziesz w takim razie do szkoły?

— Bo nie mam jeszcze trzynastu lat — mówiła, zanosząc się od płaczu rozczochrana dziewczynka. — Mam dziesięć lat tylko, a tatusia wzięł do kozy w przeszłym tygodniu za to, że siedziałam

w domu, a jak mnie tam niema, kto będzie pilnował dziecka, i kto ugotuje kartofli, i kto...? O! że-bym też miała już trzynaście lat!

Bertus nie rozumiał. Nigdy dotąd nie słyszał o przymusowém nauczaniu.

— Co robi twój ojciec? — zapytał.

— Pracuje w cegielni, wszyscy pracujemy w cegielni. Mogę tam brać dziecko, bo tak ładnie i spokojnie sobie siedzi w glinie; ale do szkoły nie pozwolą mi go wziąć, i sparzy się, sparzy się z pewnością, bo zawsze pod kociełkiem lubi siedzieć.

— Ale to bardzo źle nie umieć czytać — powiedział mały hrabia poważnie. — Jak tylko kto już umie mówić, powinien się nauczyć czytać. Ja się nauczyłem bardzo wcześnie.

— Może nie pracujesz w ceglarni — powiedziała do żywego dotknięta dziewczynka. — Ja zawsze miałam dziecko do pilnowania; naprzd był Tom, a potem był Dik, a teraz jest ten mały. Niepotrzebuję się uczyć czytać; czytając nikt cegiel nie robi.

— Ale takich pięknych rzeczy się nauczysz — przekładał Bertus — zdaje mi się doprawdy, że powinnaś pójść do szkoły,

— Tak mówił ten pan, który tatusia do kozy zamknął — powiedziała zacięta dziewczynka — ale co nam po pięknych rzeczach, kiedy żołądek próżny. Nie poszłabym nigdy do tej obrzydłej szkoły, gdyby biedny tatuś nie powiedział, że go znowu zamkną, jak nie pójdę.

— To okrutna rzecz tak kogoś zamykać — rzekł Bertus, którego współczucie coraz żywszém się stawało — trzeba więc, żebyś usłuchała i poszła do szkoły, a ja może pójdę tymczasem zobaczyć, co się dzieje z tym maleńkim. Gdzie mieszkanie?

Wskazała ręką poza sobą.

— Trzeba iść prosto i spytać się, gdzie mieszka John Bracken; ale nigdy sobie nie dacie rady z małym.

— Spróbuję — powiedział Bertus. Ciekawość jego, równie jak i litość, żywo była obudzona, bo nie pamiętał, żeby kiedykolwiek widział małe dziecko. — A ty pójdz do szkoły, proszę cię.

— Idę — powiedziała zapłakana bohaterka, wylewając ostatnie łzy, i pobiegła tak prędko, jak na to pozwalały ojcowskie buty, z dziesięć razy za wielkie na jęj nóżki, a książka i tablica, które miała przewieszane przez ramię, uderzały o siebie z hałasem.

Bertus czuł się już bardzo zmęczonym, bo nie był przyzwyczajony do długich przechadzek, ale ciekawość i litość nowej mu odwagi dodawały, nóżki zawzięcie postępowały po nierównej drodze, a czerwone pończochy i trzewiczki o srebrnych

klamrach coraz grubszą warstwą błota i kurzu się pokrywały.

Zapukał do małego domku, z którego wyszła stara kobieta, z miotłą w ręku, i pogroziła mu nią, odpowiadając na jego pytanie:

— Nie, tu nie mieszka John Bracken. Umykaj prędko, mały włóczęgo.

Dalęj, za polem zasadzoném burakami, i drugiem, gdzie rosły różne pastewne rośliny, które mały hrabia wszystkie brał za koniczynę, stał drugi domek. Bertus znał dobrze arytmetykę i nawet trochę geometrii, mówił po niemiecku, i czytał po łacinie, ale o kwiatkach polnych, o trawkach leśnych, nikt mu nigdy nie wspomniał; prawdopodobnie ci, co go uczyli, niewiele sami o nich wiedzieli.

Drugi ten domek był tak niski, tak zapadnięty w ziemię, tak obdarty, słomiana strzecha tak była okryta mchem, że Bertus z początku wziął go za jakiś opuszczony chlewek. Stał jednak na miejscu wskazaném przez dziewczynkę, więc mały hrabia, uzbroiwszy się w odwagę, pchnął drzwi, ledwie się na zawiasach trzymające. Na nędzném łóżku leżała blada i mizerna kobieta, chłopak jeden rozciągnięty był na ziemi, drugi siedział skulony przed ogniskiem, na którym paliło się trochę suchych gałązek, a pomiędzy jego nogami leżało coś dziwnego, niekształtnego, a gdyby nie to, że przedmiot ten wydawał głośnie okrzyki, nie byłby nigdy domyślił się nasz Bertus, że to było właśnie owe małe dziecko, przeznaczone na śmierć straszną i przedwczesną.

Chłopak, który je trzymał pomiędzy nogami, spojrział bystro okrągłemi oczkami na nowo przybyłego.

— Matusiu, przyszedł jakiś panicz — zawołał wyleknionym głosem.

Bertus zdjął kapelusz i ukłonił się, jak mógł najgrzeczniej.

— Proszę pani, czy pani bardzo chora? — zapytał dzwięcznym swym głosem leżącej kobiety — spotkałem... spotkałem dziewczynkę, która się bardzo turbowała o małe dziecko, i obiecałem jęj przyjść się dowiedzieć, czy nie mógłbym dopomódz...

— Mój paniczu, cóżbyś mógł dla nas zrobić, chyba że nam podarujesz parę szylingów...

— Nie mam pieniędzy — wyszeptał Bertus, który się bynajmniej nie czuł wielkim panem w tję chwili.

Kobieta westchnęła, i obojętnie opadła na nędzne posłanie.

— Czy nie mogę nic zrobić? — zapytał błagalnym głosem Bertus.

— Jeżeli nie masz nic w kieszeni, to do niczego jesteś, — powiedział chłopak, siedzący przed ko-

minem. W tój chwili dziecko głośniej się odezwało i brat kulakiem je potraktował.

— Proszę bardzo mu nie dokuczać — powiedział łagodnie niespokojny Bertus.

— Co tobie do niego? — rzekł Dik, który nie miał ochoty znosić napomnień nieznanego, nie mającego pieniędzy.

— Chciałbym zabawić trochę to dziecko — powiedział nieśmiało Bertus — obiecałem waszój siostrze, że się niēm zajmę.

Dik drwiąco się rozśmiał.

— Onby niezadługo roztrząsł twoje delikatne kosteczki, co się ledwie trzymają — powiedział grubijańsko, aż Bertus się zarumienił.

Drugi chłopak, który leżał na ziemi, powstał i rzekł:

— Dobry z ciebie panicz, ale Dik zły, bo sobie nogę złamał, i myśmy nic nie jedli od wczoraj, tylko trochę herbaty, którą siostra ugotowała, nim wyszła, a matusia taka chora.

I lzy się potoczyły po zasmolonej twarzyczce biednego chłopczyka.

— Co ja pocznę? — westchnął Bertus, żałując teraz bardzo pieniędzy i zegarka, które wpadły do morza. Obejrzał się i słabo mu się zrobiło; wszystko było brudne, tak brudne! a on dotąd nigdy brudu nie widział; zaduch panował w izdebce, dzieci okryte były łachmanami, matka wychudła i wynędzniała leżała na słomie, a nieszczęsne dziecko krzyczało tak przeraźliwie, że możnaby je było usłyszeć po drugiej stronie cieśniny na francuzkiem wybrzeżu.

— Malutki, biedny malutki, nie płacz tak, — rzekł łagodnie Bertus, i chwyciwszy końce swój czerwonej szarfy, zaczął je poruszać przed oczyma dziecka, które się tym sposobem rozbawiło, przestało płakać, wyciągnęło rączki, i po chwili rozśmiało się nawet wesoło. Bertus uczuł się bardzo dumnym, i nawet nachmurzony Dik zamruzczał:

— Ktoby się tego spodziewał.

Mały Hrabia rozwiązał szarfę i oddał ją do zabawy dziecku. Oczy Dika zaświeciły.

— Paniczu, toby można sprzedać — rzekł.

— O nie, nie! — powiedział żywo Bertus, — niech się nią biedne dziecko zabawi. Czy widzicie, jak się śmieje? Jakie ma ładne duże oczy!

— I trzewiki możnaby sprzedać, — mruknął Dik.

— Cicho, Diku, cicho, — zawołał Tom — to żebranina.

Bertus spojrział na nich zdziwiony. Sprzedać swoje trzewiki zdawało mu się takim samym niepodobieństwem, jak sprzedać włosy lub ręce. Kobieta otworzyła zamglone, znużone oczy.

— Nie miej im tego za złe, paniczu; oni są uczciwi, ale od wczoraj nic nie jedli, oprócz odrobiny marchwi, a biedne chłopcy mają dobry apetyt.

— I nie macie nic w domu do jedzenia? — zapytał Bertus przerażony nędzą, jaką spotkał na tym nieznanym świecie.

— A zkadże cokolwiek mieć możemy? — powiedziała kobieta. Męża wzięli do kozy, dziewczyna poszła do szkoły, Dik złamał nogę, więc musimy ginąć z głodu, bo któż co zarobi? a ja nie mam już mleka dla dziecka....

— Ale ten pan, dla którego pracujecie?... — zaczął Bertus.

— Kto tam myśli o ludziach w cegielni? jak kto przyjdzie i pracuje, to dostanie zapłatę, a jak nie przyjdzie, inny weźmie na jego miejscu pieniądze i kwita.

Bertus stał zmartwiony i zakłopotany.

— Mówiłeś, że możnaby sprzedać moje trzewiki. — wyrzekł cichutko, przypominając sobie historiją Ś-go Marcina i jego płaszcz.

Oczy Dika zabłysły.

— Daliby za nie trzy szylingi tam na wsi.

— Nie powinniście zabierać rzeczy temu paniczowi, — powiedziała słabym głosem matka, ale niemoc ją ogarniała, i ciemności wzrok jej zasłaniały.

— Trzy szylingi! — powtórzył Bertus, który nie wiele się znał na wartości pieniędzy — to bardzo mało; zdaje mi się, że dużo więcej kosztowały, ale czy dostaniecie bochenek chleba za trzy szylingi?

— I nie jeden! — zawołał Dik.

— Ale jakże ja będę chodził bez trzewików?

— Daleko lepiej bez nich niż z niemi; my nigdy nie mamy trzewików — powiedział Dik.

— Nigdy?

— Nie, i daleko nam lepiej bez nich. Człowiek nie potknie się, ani się nie pośliznie, i dziesięć razy prędzej biega.

— Ja nie potrafię — powiedział cichutko Bertus, i miał ochotę dodać, że mu wstyd będzie pokazać się bez trzewików, ale przypomniał sobie, że oni ich nie mieli, i mogliby się obrazić. Smutek go ogarnął na myśl, że zostanie bez obuwia, ale przypomniał sobie, że niema zasługi dawać, gdy dar nic nie kosztuje, i że święci ze wszystkiego się wyzuwali, żeby biednych obdarzać.

Nachylił się, zdjął trzewiczki o srebrnych klamrach, i śpiesznie postawił je na ziemi.

— Weźcie je, jeżeli możecie za nie dostać chleba — powiedział, i twarzyczka jego się zarumieniła.

Dik porwał trzewiki z okrzykiem radości.

— Żebym przynajmniej sam mógł pójść z niemi! Leć ty, Tomie, do starój Janowój, ona je we-

źmie i zapłaci, a ty kup chleba, mięsa, kartofli, mleka dla dziecka, i co tam chcesz; może trochę wódki dla matysi.

— To brzydko, że my tak okradamy tego panieczka — mruknął mały Tom; brat za nim rzucił kula drewnianą, która przy nim leżała, i Tom, porwawszy ładne trzewiki uciekł z niemi czempredzėj.

— Jak kogo dzień i noc szarpie w żołądku, jakby mu co wnętrzości wygryzało — powiedział Dik zawstydzony, na nic się nie zważa, byle dostać chleba.

Bertus nie bardzo dobrze to rozumiał. Dziecko zdudzone już szarfą, zaczęło znowu krzyczeć, a Dik, któremu dobry humor powrócił, huśtał je na rękach.

— Wiele masz lat? — zapytał Bertus.

— Niezadługo ośm skończę — powiedział Dik.

— Tylko! — westchnął mały hrabia; nieokrzesany, wygadany, rozkazujący tak stanowczo, w porównaniu z nim, ten chłopak wydawał mu się prawie dorosłym mężczyzną.

— Nie zdradzisz nas? — zapytał Dik. — Nie powiesz nikomu, żeśmy ci trzewiki zabrali?

— A któż to zaraz opowiada, gdy co dobrego zrobi? — szepnął Bertus oburzony tém podejrzeniem — to jest, gdy się swój obowiązek spełni.

— Ale jakże ich tam w domu okłamiesz? będą chcieli wiedzieć, co się z twojemi trzewikami stało.

— Nie powrócę do domu — i było w jego głosie, gdy wymawiał te słowa, coś tak stanowczego, że Dik zamilkł.

Bertus tymczasem wpatrywał się z niepokojelem i trwogą w wybladłe oblicze chorėj kobiety; nigdy nie widział ani choroby, ani śmierci, lecz poznał jednak, że musiała być bardzo chorą.

— Czy nie jesteś niespokojny o twoję matkę? — zapytał chłopca.

— O, bardzo — odpowiedział ponuro Dik, i łza zabłysła w jego oku — a tatuś w więzieniu, to jeszcze gorzej.

— Nie gorsze to od śmierci — rzekł Bertus uroczyście. — On powróci z więzienia.

— Polepszy jėj się, jak się napije trochę wódki i zje zupy — powiedział Dik z otuchą; ona z głodu i zmartwienia choruje.

— Cieszę się, że im dałem moje trzewiki — pomyślał Bertus; nastąpiło milczenie, przerywane tylko syczeniem zielonych gałązek na ogniu, i krzykiem dziecka.

— Możebyś postawił na ogniu trochę wody — powiedział Dik po chwili. — Nie mogę się ruszyć z tą nogą. Gdybyś wody z kotła do tego rądelka

dolał, zagotowałaby się już, nim Tom przyniesie mięso.

— Dobrze — powiedział ochoczo Bertus, i obie ma rękami podniósł zadymiony rądel, którym majteczki całe zaczercił, i postawił na kominie. Potém z rozkazu Dika wynalazł stary mieszek i próbował rozżarzyć tlejący się ogień, ale tak mu się nie udawało, że Dik musiał się zwlec jakoś i zbliżyć do komina, i sam dmuchać zaczął.

— Co za niezgrabiasz — powiedział do swego dobroczyńcy.

Za jakie pół godziny wpadł do izby Tom zadyszany, ale uszczęśliwiony, skrupuły jego uleciały pod ciężarem kosza, który dźwigał.

— Dała mi pięć szylingów! — zawołał — i jestem pewny, że trzewiki dużo więcej były warte, bo tak się do nich uśmiechała, i podarowała mi jeszcze baka.

— Pokaż, co masz! — zawołał Dik w rozpaczy, że się nie mógł ruszyć, i cieszyć widokiem tylu dobrych rzeczy.

Mały Tom, który był zawsze posłuszny starszemu bratu, wyłożył wszystko przed nim na ziemi. Były tam dwa bochenki chleba, dwa funty mięsa, cebula, kartofle, kawałek słoniny i garnuszek z mlekiem.

Dik wlał trochę mleka do blaszanego garnuszka, i podał małemu hrabiemu, mówiąc mu rozkazującym tonem:

— Nakarm dziecko, a przez ten czas Tom i ja gotować będziemy.

Bertus wziął blaszany garnuszek i zbliżył się do obdartego dzieciaka, który nie przestawał krzyczeć ochrypłym głosem.

— Zdaje mi się, że powinniście przedewszystkiem pomyśleć o waszej matce — powiedział łagodnie; a dziecko, poznając zapewne blaszany garnuszek, rzuciło się ku niemu tak skwapliwie, że połowę mleka na siebie rozlało.

— Biedna matusia! — powiedział Tom, który zjadał kawałek chleba, i powstawszy poszedł zanieść matce trochę wódki, zmieszanej z wodą gorącą. Połknęła napój, nie otworzywszy oczu i jakby nieprzytomna, a Tom powrócił do komina z sumieniem uspokojoném.

— Damy jėj potém rosołu — powiedział wspinałomyślnie i wraz z Dikiem, zjadając chleb i surową słoninę, włożył mięso w rądel z gorącą wodą, wraz z całkowitą cebulą. Dziecko przez ten czas spokojnie zjadało mleko z garnuszka, który Bertus ostrożnie trzymał, i wychyliwszy wszystko, pochwyliło łapczywie kawałek chleba.

Chłopcy, nachyleni nad ogniem, gryzli zawzięcie chleb i słoninę, i przypatrywali się, jak się ro-

sól gotował. Zupełnie zapomnieli o swym dobroczyńcy.

— Co to siostra powie, gdy powróci? — rzekł wesoło Tom.

— Powie, że byłaby lepiej potrafiła ugotować — mruknął Dik. — Ale też smaczna ta słonina.

Bertuś stał z boku, zadowolony, a jednak smutny trochę, że nikt na niego nie zważał. Nawet dziecko tak zajęte było obgryzaniem skórki z chleba, że zapomniało o czerwonej szarfi.

Bertuś patrzył na nich przez czas jakiś, ale nikt nie zdawał się spostrzegać jego obecności. Chłopcy z iskrzącymi oczyma zapatrzeni byli w zamolony garnek a policzki ich wydęte, bo mieli usta pełne jadła, tak zabawnie wyglądały, że Bertuś uśmiechnął się mimowoli.

Poszedł z wolna ku drzwiom, spojrzawszy raz jeszcze i wyszedł.

— Byłoby nieładnie z mojej strony przypominać im moją obecność — pomyślał, oddalając się.

Nagle uczuł silny ból w nodze, kamień go skaleczył przez pończochę.

— O mój Boże! jakże potrafię chodzić bez trzewików? — pomyślał z rozpaczą, i o mało się nie rozplakał.

(D. c. n.).

### Metagram (Woch Heleni).

Z trzech głosek się składam i pływam  
A często przemieniam odzienie;  
W tył jakoby podróż odbywam,  
Smaczne też jest ze mnie jedzenie.

\* \* \*

Zmień pierwszą: ujrzyś mnie w ogrodzie,  
Główkę w strojną tulę kryjówkę;  
Wyglądam, jak ułan w pochodzie,  
A potem ścinają mi główkę.

\* \* \*

Znowu zmień pierwszą, a na grzędzie,  
Albo w doniczkach mam mieszkanie,  
Różne mam stroje, ale wszędzie,  
Miłym zapachem darzę panie.

\* \* \*

W innej postaci, wiedz zawczasu,  
Że mnie używasz do pieczęci.  
Zmień drugą, będę miarą czasu,  
Którą obyczaj wszędzie święci.

\* \* \*

Kto chce odgadnąć łatwo może,  
Trudniejszą zagadkę wnet ułożę.

### Łamigłówka zgłoskowa (M. K. Ph.).

Z następujących zgłosek: a—bie—bo—be—ci—cin—ciec—hru—i—ka—kra—le—le—lisz—mi—na—no—o—oj—rek—rys—so—ski—szew—szów—ti—wrzyn—wa— ułożyć jedenaście wyrazów: 1. Miasto w Polsce. 2. Głowa rodziny. 3. Miasto w Ameryce. 4. Miasteczko w Polsce. 5. Spójnik. 6. Imię biblijne. 7. Taniec. 8. Roślina, przypominająca chwałę. 9. Futro. 10. Nazwisko współczesnego pisarza. 11. Roślina, Pierwsze litery od góry do dołu utworzą nazwisko dawniejszego poety, ostatnie od dołu do góry współczesnego pisarza.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 8-go.

#### Łamigłówki głoskowej:

Chmurami ciemnymi księżyc się narzucił,  
Wiatr zimny swą dziką piosenkę zanucił;  
A zamieć śnieżysta olbrzymie tumany,  
To wznosi, to ciska, jak wulkan wezbrany.

\* \* \*

Zawianą drożyną szedł żebrak ubogi,  
Odziany w łachmany, na szczudle, bez nogi;  
Na piersiach mu tylko połyskał krzyż złoty,  
Nagroda wojskowej zasługi i cnoty.

Ignacy Stopczński (Żebrak).

### Z a g a d k i:

*Argonauta* (żeglarek) mięczak z gromady głowonogich (cephalopoda), z rzędu dwuskrzelnych. Ma konchę bardzo cienką, spiralnie zwiniętą, podobną do okręcika, w którym żyje zwierzę, używając dwóch błonkowatych ramion, jakby żagli, a sześciu innych jako wiosel. Żeglarki, płynące po morzu w licznej gromadzie, ślicznie wyglądają. Grecy sądzili, że człowiek wziął od nich wzór statków żeglarskich. Argonautami zwali się Grecy żeglarze bohaterowie na okręcie *Argo*, którzy pod dowództwem Jazona płynęli do Kolchidy po złote runo, strzeżone tam przez smoka. Wyprawa ta Argonautów miała miejsce około r. 1350 przed Chrystusem, patrz *Wieczory Rodzinne* Nr. 1.



# WIECZORY RODZINNE

DLA MAŁYCH DZIECI.

## KORALE I PERŁY.

*Andzia.* Niechno Mamunia opowie coś ciekawego o tym obrazku. Takie to jakieś dziwne rzeczy: duża skojka otwarta, jak pudełeczko, a tu znów krzaczek wyrasta. Co to takiego?

*Mama.* W skojce są śliczne, kosztowne perełki, a to znów krzaczek koralowy; obok widzisz parę muszelek zwyczajnych. Wszystko to są żyjątka morskie i ich domki.

*Andzia.* Wiem, wiem, Mamuniu; w muszelkach mieszkają ślimaczki; i u nas w ogrodzie są takie ślimaczki, co tak zabawnie pokazują rożki. Ja tylko nie wiem, z kąd one biorą te swoje domki?

*Mama.* Same je wyrabiają, tak zupełnie, jak ty swoje kosteczki wyrabiasz.

*Andzia.* Co też Mama mówił czyż to ja robię swoje kosteczki?

*Mama.* Ba! sama o tym nie wiesz i niewiele sobie przy tym trudu zadajesz; bo to przecież nie jest ciężka robota ze smakiem spożywać śniadanie, obiad, wieczerzę, pić mleko, herbatkę. Ale ty nawet nie wiesz o tem, że z tych pokarmów wyrabiają się i kości, i wszystkie części naszego ciała. Zwierzątka także żyć nie mogą bez jedzenia, bo i ich ciało tym samym sposobem się tworzy.

*Andzia.* Dziwna rzecz! Pieski to przynajmniej gryzą kości, ale ja przecież nigdy nie jadam takich okropnie twardych rzeczy, a jak byłam malutka piłam tylko mleczko. Jakimże sposobem wtenczas mi te kosteczki powyrastały?

*Mama.* W żołądku i we krwi odbywa się taka dziwna przemiana pokarmów. Jak będziesz starsza, zrozumiesz to lepiej. Teraz pomówmy lepiej o naszym obrazku. Korale to



także żyjące stworzenia, mieszkają sobie w domku wspólnym, podobnym do drzewka. W rzeczywistości jednak nie jest to wcale ich mieszkanie; ta twarda koralowa masa stanowi część ciała żyjątko, tak samo, jak kości u innych zwierząt. One nie mogą się z tą swoją skorupką rozstać. Ślimaki i inne stworzenia podobne nazywane są mięczakami, dla tego, że mają takie miękkie ciało; brak im kosteczek wewnętrznych, a za to otulone są w twardą zwierzchnią skorupkę.

*Andzia.* Ale, moja Mamuniu; jak już te ślimaki, korale i różne stworzenia raz wyrosną, i mają skorupkę i ciało, to przecież ciągle jeszcze jeść muszą?

*Mama.* Nietylko mięczaki, ale i wszystkie zwierzęta niepotrzebowałyby jeść, gdyby ich ciało mogło się utrzymać ciągle w jednokowym stanie. Tak jednak nie jest, bo wszystkie części ciała ustawicznie się odnawiają, dawne się zużywają i niszczą, a nowe natomiast wyrastają. Odbywa się to tak nieznanie, że spostrzedz tego niepodobna; wiesz przecież, jakto i ludzie i zwierzęta prędko chudną, gdy zamało jedzą.

*Andzia.* To pewno, Mamuniu, jak mi się bardzo jeść chce, to znaczy, że już tam gdzieś w moich nóżkach albo rączkach czegoś brakuje i trzeba coś podreperować.

*Mama.* Niezawodnie i dla tego to wtedy tylko jeść trzeba, kiedy się głód prawdziwy czuć daje, a nigdy dla zadowolenia łakomstwa.

*Andzia.* Już Mama powiedziała o koralikach, że one sobie z pokarmów wylepiają te śliczne czerwone krzaczkę; chociaż one pewnie nic a nic o tём nie wiedzą, bo kiedy ja, co przecież trochę jestem rozumniejsza od takiego jakiegoś mięczaka, ani się spodziewałam, że ja sobie z obiadów kosteczki wyrabiam... Ale niechże Mama jeszcze coś powie o perełkach, ztąd one się w skojkach biorą, czy także z jedzenia?

*Mama.* To już inna sprawa. Mięczaki, mieszkające w tych skojkach, nie potrzebują wcale perełek, bo to jest rodzaj choroby tych żyjątek. Wyobraź sobie, że tam czasem do środka skojki zapadnie ziarneczko piasku, albo drobnieuteńki kamyczek i zrani miękkie ciało. Wówczas z ranki zaczyna się sączyć coś nakształt kleju, a ten powleka twarde, ostry kawałeczek żwiru czy piasku, zastyga, twardnieje także i tym sposobem tworzy się w tём miejscu śliczna, biała, mleczna perełka. Czasem do jednej skojki wpadnie dużo ziarnek piasku, i mnóstwo perełek się wytworzy. Ludzie łowią takie skojki w morzu, piękne perełki z nich wyjmują, przekalają i panie się w nie stroją.

*Andzia.* Jakież to jest dziwne, moja Mamusiu! taka przesłiczna rzecz robi się z ranki małego zwierzątka.

*Mama.* Takich dziwnych rzeczy jest pełno na świecie, a wszędzie dopatrzeć w nich można śladów ręki Bożej, śladów Opatrzności.

## MAŁY ŁAKOMIEC.

Stefuś siedział z podpartą i podwiązaną główką i rzewnie płakał. Siostrzyczka Zosia szyła pilnie fartuszek dla swój lalki, aby przy świątecznych przygotowaniach nie zawałała nową różową sukienki. Spoglądając od czasu do czasu na płaczącego braciszka, uśmiechała się złośliwie.

— Oj boli, boli! — wołał Stefuś, płacząc — nieznośna kołyska... — a po chwili, spostrzegłszy, iż się wydał z sekretu, dodał nieśmiało: — Gdybym choć był całą zjadł.

Muszę wam też powiedzieć, o jakiej to kołysce Stefuś mówił. Zosi darowała jedna grzeczna pani śliczną laleczkę z cukru w czekoladowej kołysce. Radość dziewczynki była niezmierna, miała już bowiem same dorosłe dzieci, przybycie zatem do lalczywego pokoju małej córeczki było uroczyste obchodzone. Najstarszą z lalek Zosia posadziła przy kołysce, zaleciwszy pilnować malutkiej, jak oka w głowie. Możecie zatem sobie wyobrazić rozpacz dziewczynki, gdy wróciwszy z pensyi nie znalazła ani laleczki, ani kołyski, a biedną niankę leżącą na ziemi....

— Kto mi taką przykrość zrobił! — płacząc pytała dziewczynka — To pewnie Stefuś.

Ale Stefuś, któremu widok łez siostrzyczki zatrzał słodki smak laleczki, upewniał ją, że widział, jak dwie myszki jadły jej córeczkę. Chciał ją obronić, ale myszki takie zwinne, że uciekły ze swą zdobyczą, zostawiając tylko bieguny, które on, dla tego, żeby nie przypominały Zosi ślicznej kołyski, zjadł już sam.

Dziewczynka nie bardzo uwierzyła opowiadaniu braciszka, mając jednak dobre serce i obawiając się, aby Mama nie ukarała Stefusia za nowe łakomstwo, przestała płakać.

Stefuś, który także miał złote serduszek, obok tak brzydkiej wady, przyrzekł sobie w duchu, że pierwsze pieniądze, jakie dostanie, użyje na odkupienie ślicznej zabawki.

Jednak pośród tych dobrych postanowień zaczęło najprzód w brzuszku coś boleć chłopczyka, bo cukiernicy zabawki nie z samego cukru robią, ale dodają i krochmalu, potem i ząbki, które od ciągłego jedzenia słodczy próchniały, zaczęły mu dokuczać. Dla tego też taki smutny i skulony Stefuś siedział w kąci, a Zosiunia się uśmiechała, nie dla tego, aby nie miała żalować braciszka, ale

że przekonała się, że to nie myszki, tylko Stefuś zjadł jej pieszczoszkę. Mama nadeszła, i dowiedziawszy się całej prawdy, którą nareszcie Stefuś pośród łez zawstydzony wyjąkał, naprzód go wyłajała surowo a potem kazała wypić parę szklanek gorzkich ziółek.

Przez długi czas po tém zdarzeniu nikt stoików z konfiturami nie napoczął, ani też cukier uie znikał z cukierniczki, wszyscy się cieszyli poprawą chłopczyka. Jednego razu Zosia wybiegła do sieni rozgrzana i dostała chryпки, Mama rozbiła parę żółtek z cukrem i kazała jej po łyżeczce łykać.

Zosiuni lekarstwo nie bardzo smakowało, ale że nie lubiła siedzieć zamknięta w pokoju, usłuchała więc Mamy. Stefuś z zazdrością patrzył na żółty gęsty płyn, napełniający szklankę Zosi, ale się wstydział do tego przyznać. Po chwili zaczął chrząkać.

— I mnie coś w gardle drapie, czy nie słyszysz, Zosiu — spytał Stefuś — możebyś mi swego lekarstwa skosztować dała.

— Jak najchętniej — odpowiedziała siostrzyczka.

Stefuś pobiegł do niej i tak szeroko otworzył buzię, że nie jedna łyżeczka, ale cała szklankaby się w niej zmieściła.

Zosi na widok łakomstwa braciszka przysła nagle chętką wyplatania mu figła.

— Pójdę do Marysi, to ona ci zrobi takie same lekarstwo, tymczasem pilnuj, żeby mojej szklaneczki nie schrupały myszki.

Zarumienił się chłopczyk na to przypomnienie i choć go chętką brała podczas nieobecności siostry zażyć dobrego lekarstwa, powstrzymał się jednak.

Widząc wchodzącą nareszcie Zosię z ogromną szklanką żółtek, ucieszył się niezmiernie.

— Przyszła do mnie Niemka na lekcją — powiedziała siostrzyczka — nie będę więc mogła dawać ci lekarstwa; bierz sam, nie pij jednak od razu wszystkiego, boby cię znów nudziło; tymczasem masz na pożegnanie jeszcze łyżeczkę z mojej szklanki.

I figlarna dziewczynka, tłumiąc śmiech, uciekła do drugiego pokoju, gdzie Marysia, współniczka jej figła, a nie panna Alina ją oczekiwała. Przez dziurkę od klucza, ukłękawszy, zobaczyła dziewczynka, jak Stefuś najprzód obejrzał się do koła i przekonawszy się, że nikogo niema, jednym łykiem

chciał połknąć słodkie lekarstwo i od razu się wyleczyć.

Jakże się jednak zawiódł okropnie! Marysia zamiast cukru wycypała do szklanki mąki i soli; lekarstwo wprawdzie tak wyglądało, jak Zosine, ale jakże różny smak miał! Mąka tak zalepiła buzię Stefusiowi, że nawet w pierwszej chwili krzyknąć nie mógł. Zosia niby z zafrasowaną minką przybiegła na ratunek płaczącego braciszka, Marysia przeproszała za pomyłkę, ale tak jakoś nieszczerze, że Stefuś domyślił się prawdy i podobno tym razem na zawsze się wyrzekł brzydkiej swjej wady. Gdyby zaś kiedy znów coś mi się o nim udało dowiedzieć, opowiem wam z pewnością.

*Marya Ciświcku.*

## SKROMNY BUREK.

W jamie, na skraju lasu, obrawszy mieszkanie, Bacznie słuchał lis nocą, gdy z wsi okolicz-

[nych  
Dochodziło go czujnych kogucików pianie,  
I za pianiem się skradał do kurczątek ślicz-

[nych.  
Ale Burek, stróż wierny i dzielnej natury,  
Lisa dopatrzył, zdusił i ocalił kury.

Nazajutrz wieś się cała zbiegała gromadnie, Oglądać nieżywego zbójcę wśród kurnika, Który on już zaczynał pustoszyć szkaradnie, I wszyscy się pytali: kto zmógł rozbójnika?

Burek gościom się łąsił, jak chciała gościnn-  
[ność,  
Ale słówka nie pisnął, kto spełnił powinność...

*Azet.*

## Podróż Adasia i Zosi do gorących krajów.

*(Dalszy ciąg.)*

— Ach, Tatku! — zawołała Zosia, klaszcząc w rączki, i śmiejąc się do rozpuku — ja znowu zupełnie zapomniałam, że to teraz jest zima i niezadługo będzie Boże Narodzenie. U nas nawet i w lecie nigdy nie było mi tak gorąco.

— Najpierw muszę wam pokazać gaj cy-

namonowy — powiedział Ojciec — obaczycie tam także inne piękne drzewa indyjskie.

— Gaj cynamonowy? — mówiła dziewczynka, otwierając szeroko błyszczące oczęta — czy tam drzewa, Tatku, całe są z cynamonu? jakież to musi być dziwne!

— Obaczysz sama — odpowiedział Ojciec śmiejąc się.

Ale Zosia zapomniała prędko o drzewach cynamonowych, bo co chwila widziała po drodze różne dziwne i prześliczne rzeczy. Ojciec rozporządził, ażeby tragarze nieśli palankiny taką drogę, gdzie było dużo drzew, ażeby upał nie dokuczył zanadto Mamie i dzieciom. Najwięcej tam było owych wspaniałych palm kokosowych, o liściach ogromnych, rozstrzępionych. Tatko zabrał z sobą do palankinu parę kokosów i Zosia popijała sobie co chwila smaczne mleczko. Dali także jeden orzech Adasiowi, ażeby miał się czém orzeźwić; Dzieci rozglądały się na wszystkie strony, nagle Adaś krzyknął:

— Paw! paw! jaki śliczny, jaki ma ogon ogromny! Czy widzisz pawia, Zosiu?

— Widzę, widzę — wołała dziewczynka — jak pysznie sobie spaceruje! ale tam jest i drugi, i trzeci, o, co za śliczności! Tatku, czyje to pawie? czy to jest ogród?

— To są dzikie pawie — odrzekł Ojciec — w Indyach pełno tych pięknych ptaków po lasach, żyją tu sobie tak swobodnie, jak u nas kruki, wrony i sroki. I te pawie hodowane w Europie pochodzą także z Indyj. Dawniej kiedyś jakiś podróżny musiał przywieźć na okręcie kilka pawie, pielęgnowano je starannie, pawice niosły jajka, wykuły się młode, wyrosły i coraz więcej tych pięknych ptaków się mnożyło. Ale u nas nigdzie ich niema po lasach ani polach.

Pawie spłoszone uciekły, a dzieci rozglądały się znów na wszystkie strony, czy nie obaczą czego osobliwego. Wkrótce usłyszano z daleka wielki tętent, las się przerzedzał, ogromna łąka zielona roztaczała się przed naszymi podróżnikami, przez środek jęj płynął bystry strumień.

— Zatrzymajcie się trochę i stańcie tu pomiędzy drzewami — powiedział Ojciec do tragarzy po angielsku; dzieci już doskonale rozumiały ten język, więc zapytały, co to będzie? Ale nim Ojciec odpowiedział, ukazało się z daleka ogromne stado jakichś bydląt rogatych, z dużemi łbami, większych znacznie od krówek.

— Tatku! Tatku! co to takiego? — wołały dzieci.

— To jest stado dzikich bawołów, moje dzieci — odpowiedział Ojciec — nie obawiajcie się, one nam nic złego nie zrobią, pewnie nas nie spostrzegą nawet pomiędzy drzewami. Te bawoły chcą się napić wody ze strumienia, a potem pomkną dalej. Przypatrzcie się, jakie to są piękne zwierzęta.

Stado bawołów naprawdę wspaniale wyglądało. Wszystkie pędziły, jak wiatr, z pochylonemi łbami, wywijając ogonami, zmierzając prosto do strumienia i zaczęły pić wodę chciwie. Gdy już dostatecznie się napiły, pobiegły znów z wielkim tętentem i hałasem w inną stronę, a wówczas palankiny z naszymi podróżnikami wyszły ze swego ukrycia i puściły się w dalszą drogę.

*(Dalszy ciąg nastąpi.)*

### Łamigłówka kryształowa.

1. Litera.
2. Błyszcząca kropelka.
3. Znajduje się w więzieniu.
4. Coś szanownego.
4. . . . .
7. Owoc duży.
8. Rzeka w Polsce.
9. Litera.

Rząd środkowy i środkowe litery utworzą nazwę wsi, w której mieszkał znakomity poeta polski.

*Rozwiązania do Nr. 8-go.*

### Szarady:

O-KO-WI-TA.

### Łamigłówki w kwadraciku:

R	O	K
O	K	O
K	O	T